

DZIEŃ PIELGRZYMKI 4

13 maja 2013

CIZUR MENOR – PUENTE LA REINA

(22,7 | 97 km)

„Každy dzień powinien rozpocząć się dobrym śniadaniem”. Wierni temu motto, przy cudownym wschodzie słońca idziemy całą wczorajszą paczką na śniadanie do tej samej restauracji, gdzie zeszłego dnia jedliśmy kolację. Właściciel śpiewał cudowne hymny pochwalne na temat swego wspaniałego śniadania, które codziennie serwuje pielgrzymom. Kolacja była bardzo dobra, więc uwierzyliśmy mu na słowo i gościmy u niego jeszcze raz dzisiaj rano. Cieszymy się wielce na to wspaniałe śniadanie. Za 4 euro dostajemy po małym rogaliku z torebki plastikowej, dwa kawałki bagietki i trochę dżemu, do tego filiżankę kawy. Na deser są dwa ciasteczka, też z plastikowej torebki. Dobre śniadanie wygląda inaczej, ale jako pielgrzymi nie jesteśmy wybredni i nie narzekamy. Najważniejsze, że coś zjadamy.

Posileni idziemy w kierunku przełęczy Puerto del Perdón, gdzie stoi znany pomnik Alto del Perdón, karawana pielgrzymów z metalowych płyt. Idziemy wąską ścieżką, cały czas pod górę. Świeci słońce. Po kilku minutach marszu robi nam się ciepło. Jeden po drugim zdejmujemy kurtki, później swetry i koszule. W końcu idziemy wszyscy tylko w podkoszulkach.

W pewnym momencie Veronika znajduje aparat fotograficzny leżący na środku ścieżki. Próbuje go uruchomić. Działa bez problemu. Ktoś musiał go niedawno zgubić. Ten nieszczęśnik nie

może być zbyt daleko, na pewno szedł tędy krótko przed nami. Inaczej ktoś inny znalazłby aparat. Tymczasem nie widać żadnych pielgrzymów.



Ruszamy o wschodzie słońca

Mniej więcej w połowie podejścia pod górę dochodzimy do „parkingu” dla pielgrzymów. W cieniu drzewa stoją dwie ławki. Wypoczywa tu kilku wędrowców. Pytamy ich po kolei, czy mogą nam pokazać swoje aparaty fotograficzne. Dziwią się trochę, dlaczego chcemy je oglądać, ale wyciągają z kieszeni, jeden po drugim, bez sprzeciwu je pokazując. Dochodzimy do młodej kobiety, w zasadzie to jeszcze dziewczyny. Sięga do kieszeni kurtki. Jej twarz tężeje. Przeszukuje wszystkie kieszenie, także plecak, jednak aparatu fotograficznego nie może znaleźć. Pomału wpada w panikę. Nie chcemy się nad nią znęcać i pokazujemy jej odnaleziony aparat. Widząc go, mówi podekscytowana po angielsku, ze wschodnim akcentem, że miała dokładnie taki sam, a teraz nie może go znaleźć. Biedna, nie rozpoznaje, że to jej aparat. Sytuacja robi się komiczna. Włączamy

urządzenie, pokazujemy zapisane zdjęcia i pytamy, czy robiła takie same. Naprawdę zdenerwowana potwierdza, że robiła dokładnie takie same zdjęcia, a teraz wszystko straciła. Dalej nie kojarzy, że przecież pokazujemy właśnie ten aparat fotograficzny, który zgubiła, i że my go znaleźliśmy. Jej towarzysz, młody chłopak, prawdopodobnie narzeczony, zorientował się, o co chodzi, ale gra z nami w tę dziwną zabawę i nic jej nie mówi. Stoi tylko z boku i się uśmiecha. Dalej się więc z nią droczymy i pokazujemy już całkiem zrozpaczonej dziewczynie następane zdjęcia, jedno po drugim.

– *I made the same picture*⁹! – wykrzykuje przy każdym.

W końcu dochodzimy do zdjęcia, na którym są razem. Dopiero wtedy dziewczyna orientuje się, że to jej aparat. Wykrzykuje i skacze z radości. Nareszcie pojmuje komizm całej sytuacji i też zaczyna się śmiać. Śmiejemy się i cieszymy, że osierocony aparat odnalazł właścicielkę. Wszyscy jesteśmy szczęśliwi. Okazuje się, że ci młodzi są z Litwy i ten chłopak faktycznie jest jej narzeczonym.

Robimy krótką przerwę. Z wczorajszej grupy zostało nas sześć osób: moje dwie Austriaczki, Fred, Gundolf, Gábor, no i ja. Holenderska para chodzi innym tempem. Poszli w stronę dal. Na pamiątkę robimy sobie grupowe zdjęcie. Wszyscy chcemy je mieć, więc fotograf musi pstrykać aż sześć razy, sześcioma różnymi aparatami. Potem idziemy, dalej w szóstkę, w kierunku przelęczy.

Marsz w grupie jest inny, ale również interesujący. Gdy ma się ochotę na rozmowę, po prostu podchodzi się do kogoś i od razu poznaje, czy ten ktoś chce rozmawiać. Jeżeli nie, zostawia się go w spokoju. Niekiedy nawiązują się też rozmowy grupowe. Jeśli chce się iść samemu, tylko ze swoimi myślami, albo tak jak ja to niekiedy robię, zagłębiony w modlitwie, to zostaje się trochę w tyle i już ma się spokój. Żadne tłumaczenie nie jest konieczne. Po prostu

9 I made the same picture (ang.) – zrobiłam takie samo zdjęcie.



Pielgrzymkowi przyjaciele: Gabor, Maria, Gundolf, Veronica, Fred i ja

zostaje się w tyle i idzie samemu. Nikt nikomu nie bierze tego za złe, nikt się o to nie obraża. Nikt się nie pyta dlaczego. Nie jest to też nieuprzejme w stosunku do innych. Po prostu tak jest.

Dzisiaj też chcę iść kawałek sam, aby móc się spokojnie pomodlić. Tym razem jednak przyspieszam, a nie zwalniam. Zostawiam moich towarzyszy w tyle. Jako pierwszy z naszej grupy dochodzę do pomnika. Na górze wieje tak silny wiatr, że pomimo błękitnego nieba i cudownie świecącego słońca jest bardzo zimno. Wkładam kurtkę i delectuję się widokiem po obydwu stronach góry. Jest wspaniały. Przy takiej ładnej pogodzie wzrok sięga daleko. Ale Santiago jeszcze nie widać na horyzoncie. Nic dziwnego, znak wskazuje kierunek do Santiago i podaje odległość 550 kilometrów. To chyba jednak odległość w linii prostej, bo według przewodnika muszę jeszcze przejść około 712 kilometrów, aby dojść do celu mojej pielgrzymki, do katedry w Santiago de Compostela.

Po kolei dochodzą inni z mojej grupy. Przez chwilę rozmawiamy, robimy sobie zdjęcia, podziwiamy widoki i w końcu ruszamy razem dalej.

Ścieżka w dół jest bardzo stroma i kamienista. Leżą na niej kamienie wielkości pięści, ale też większe. W zasadzie to ścieżka składa się z tych kamieni. Zjazd rowerem jest tutaj absolutnie niemożliwy. Nawet schodzenie jest niebezpieczne. Trzeba uważać, aby na tych kamieniach się nie poślizgnąć i nie upaść. Konieczna jest pełna koncentracja. Przy takim zejściu nie ma mowy o podziwianiu widoków. Wzrok musi być cały czas skierowany pod nogi.



Santiago jeszcze nie widać...

Dokładnie na tym odcinku czuję nagłe ukłucie w lewą stopę, tak jakbym miał mały, ostry kamyk w bucie. Od razu siadam na poboczu, zdejmuję but i sprawdzam, co to jest. To nie kamyk, to coś innego. Oto zawitał... pierwszy pęcherz. Mały, ale nie do przecenienia! Rozgościł się na stopie pod dużym palcem. Prawdopodobnie jest bardzo towarzyskim pęcherzem, bo przyprowadził od razu

kumpla na to party w moim bucie. Kumpel znalazł sobie miejsce na czubku drugiego palca, tuż obok dużego. Odkrywam to trochę zaskoczony, bo w ogóle go nie czuję. Obydwa pęcherze oklejam plastrami Compeed. Na szczęście mam je przy sobie. Kiedy opatruję stopę, mija mnie Gundolf, który został trochę w tyle. Maria, Veronika i Gábor są już dalej, z przodu. Zadowolony, że jestem tak dobrze przygotowany i wszystko mam przy sobie, pakuję swoje rzeczy, zakładam plecak i idę dalej za resztą grupy. Trochę czuję te pęcherze, ale nie nazwałbym tego bólem. Na razie to tylko nieprzyjemne uczucie, nic więcej. Na razie!

Z tym nieprzyjemnym uczuciem na lewej stopie idę dosyć szybko, spieszę się. Obydwie Austriaczki uważam już za tak sympatyczne, że chcę je dogonić. Może uda się spędzić z nimi trochę więcej czasu?

W Muruzábal widzę, że jakieś 100 metrów od drogi stoi piękny kościół. Zazwyczaj sprawdzam, czy napotkane świątynie są otwarte. Postanowiłem sobie, że będę odwiedzał po drodze wszystkie kościoły. Lecz nie wszystkie są otwarte; w rzeczywistości przeważnie są zamknięte. Jeżeli można wejść, to wchodzę i modlę się przez chwilę. Tym razem robię jednak wyjątek. Aby nie tracić czasu, mijam kościół i skręcam bez zatrzymywania się w kierunku Eunate. Spieszę się, aby dogonić Marię i Veronikę, moje miłe towarzyszki z Austrii. Kościół jest na pewno i tak zamknięty – myślę sobie.

Aby obejrzeć sławny kościółek Eunate, muszę iść okrężną drogą, mniej więcej o 3 kilometry dłuższą. Chętnie idę tą dłuższą trasą. Mały, ośmiokątny kościół bardzo mnie interesuje. Wybudowany został prawdopodobnie przez templariuszy. W pobliżu panuje ponoć duchowa, dziwnie spirytualna atmosfera.

Kiedy opuszczam Muruzábal, widzę przed sobą na drodze stojącego pielgrzyma; szuka czegoś w plecaku. Doganiam go szybko. To Gundolf. Dalej idziemy razem. Droga do Eunate prowadzi po piaszczystej, zakurzonej drodze przez otwarte pole. Słońce praży

niemiłosiernie. Zrobiło się bardzo gorąco. Ale lepsze to niż iść w deszczu.

Kościółek spostrzegamy z daleka. Bez zwlekania idziemy w jego kierunku. Gundolf ma podobne tempo do mojego, kiedy się spieszę. Umiemy więc iść razem. Na dłuższy dystans ta szybkość byłaby jednak dla mnie zbyt męcząca.



Muruzábal – kościół

Z bliska widzimy, jak mała jest ta świątynia samotnie stojąca w polu. Z jej ośmiokątnym kształtem wygląda bardzo harmonijnie. Wokół niej biegnie chodnik wyłożony małymi, okrągłymi kamkami. Cała otoczona jest murem. Między nim a chodnikiem rośnie wąski trawnik. Chcę od razu wejść do środka. Niestety to niemożliwe. Dzisiaj poniedziałek, a w poniedziałki kościół ten jest zawsze zamknięty. Nawet furtka w murowanym ogrodzeniu została zamknięta. Jestem rozczarowany. Na dodatek przyjeżdża jeszcze autokar z pielgrzymami z Niemiec. Całe stado, około 50 osób, szturmuje drogę w kierunku kościoła. Przewodnik recytuje

na pamięć wyuczony tekst. Część wycieczkowiczów stoi wokół niego i słucha, reszta szwenda się obok. Tej ponoć cudownej atmosfery w tym miejscu nie da się wyczuć. Czekamy cierpliwie z Gundolfem, aż ci autokarowi pielgrzymi odjadą. Jeżeli mistyczny nastrój przysł, to chcemy chociaż porobić parę ładnych zdjęć. Tylko bez tłumów, proszę!

Po wyrecytowaniu tekstu kierownik wycieczki oznajmia grupie, że mają teraz 10 minut na robienie zdjęć. Turyści rozchodzą się i fotografują grzecznie kościół ze wszystkich stron. Większość z nich nosi czapeczki z napisami: *Camino de Santiago*, *Jakobsweg*¹⁰, *Pilger*¹¹ itp. Czy ci ludzie faktycznie myślą, że są pielgrzymami? Ja przynajmniej inaczej wyobrażam sobie pielgrzymkę. Takie autokarowe pielgrzymowanie to nie dla mnie. Ale jeżeli oni są zadowoleni, to w takim razie to też jest w porządku. Nie mam prawa tego oceniać. Chociaż muszę przyznać, że walczę ze sobą, aby nie negować tego rodzaju pielgrzymowania.

Jedna z kobiet podchodzi do nas i pyta:

– Czy panowie są prawdziwymi pielgrzymami?

– Nie, jesteśmy tajnymi agentami Urzędu Nadzoru Drogi św. Jakuba i przeprowadzamy kontrolę, czy przewodnicy opowiadają pielgrzymom prawdę – odpowiada bardzo poważnie Gundolf.

– I? – dopytuje dalej dociekliwie, patrząc na nas.

– Wasz jest dobry. Zawsze wzorowo zalicza kontrolę.

Siadamy na ławce, aby poczekać, aż autokar odjedzie. Zdejmujemy buty, posilamy się trochę. Szybko robi mi się niewygodnie na tej ławce. Kładę się na trawie i rozkoszuję chwilą. Gundolf robi to samo. Podczas, gdy tak sobie leżymy, przychodzi Gábor i siada obok nas. Odpoczywamy, rozmawiamy i czekamy na odjazd autokaru.

¹⁰ Jakobsweg (niem.) – droga św. Jakuba.

¹¹ Pilger (niem.) – pielgrzym.

Tradycja mówi, że jeśli ktoś przejdzie trzy razy dookoła tego kościoła – milcząco i bardzo powoli, stąpając boso po kamiennym bruku – odczuje spirytualną energię tego miejsca. Chcę to wypróbować. Ściągam skarpetki i podchodzę do drugiej furtki w murze. Ale i ta jest zamknięta. To jednak nie stanowi dla mnie przeszkody w przeprowadzeniu doświadczenia. Wspinam się na wysoki, liczący około 160 centymetrów mur, zeskakuję po jego wewnętrznej stronie i idę wolno wokół kościoła. Każdy krok to ból. Małe kamienie bruku wrzynają mi się w stopy. Żadnej spirytualnej energii nie czuję, tylko ból stóp. Może muszę trochę więcej przejść? Kroczę więc dalej wzdłuż kościelnego muru.

Kiedy dochodzę na drugą stronę kościoła, zauważam grupę kobiet, siedzącą w kółku na trawniku między ogrodzeniem a chodnikiem. Trzymają się za ręce. Mają zamknięte oczy. Wygląda na to, że medytują. W centrum leżą kadzidelka ułożone na kształt ogniska. Obok stoi staromodny magnetofon. Z głośników cicho rozbrzmiewa medytacyjna muzyka. Jedna z kobiet, prawdopodobnie mistrzyni ceremonii, wygląda na Cygankę. Jej ubiór przypomina mi cygański strój – cała obwieszona jest biżuterią i świecidełkami. Na głowie nosi kilka medalionów, zwisających częściowo na jej czoło. Mogłaby bez problemu pracować jako wróżka na jarmarku. Widok ten kojarzy mi się od razu z sabatem czarownic.

Nie zauważają mnie. Idę bezszelestnie, stąpając przecież boso i bardzo powoli. Bezpośrednio przy nich nie mogę się pohamować i pozdrawiam je uprzejmym, ale głośnym *hola*^{12!} Zaskoczone „czarownice” otwierają oczy, patrzą na mnie zdziwione i nawet trochę wściekłe, nic jednak nie odpowiadają. Chyba przeszkodziłem im w transie. Zepsułem w ten sposób sabat. Mam nadzieję, że nie wyciągną różdżek i nie zamienią mnie w ropuchę albo kamień.

12 Hola (hiszp.) – cześć.

Mam dosyć. Żadnej spirytualnej energii nie czuję, chodzenie po bruku boli, kościół jest zamknięty, przy kościele siedzą czarownice i patrzą na mnie wściekłe. Wracam do Gundolfa i Gábora.

Maria i Veronika opowiadały mi, że też chcą iść tą dłuższą drogą przez Eunatę. Miałem więc nadzieję, że się tutaj spotkamy, ale ich nie ma. Gdzie one się podziały? Przecież nie mogły iść tak szybko, żeby być tu przed nami i pójść już dalej, zanim dotarliśmy. Może jednak szły krótszą drogą? Nie chciałem ich zgubić, a jednak zgubiłem. Czy jeszcze je spotkam?

Odpoczywamy jeszcze chwilę i idziemy w trójkę dalej w kierunku Puente la Reina. Jest bardzo gorąco, więc droga staje się uciążliwa. Pęcherze na mojej lewej stopie odczuwam coraz bardziej. Pomału mogę zacząć mówić o bólu.

W Puente la Reina są dwa schroniska: komunalne i kościelne. Kościelne znajduje się w seminarium duchownym. Zostajemy w nim z Gundolfem. Gábor idzie dalej, do komunalnego. Przy meldowaniu się przeglądam w rejestrze nazwiska pielgrzymów, sprawdzając, czy Maria i Veronika też tu są. Niestety nie widnieją na liście.

W naszej sali jest już kilku pielgrzymów, przeważnie z Włoch. Zabieranie dokumentów i wartościowych rzeczy ze sobą do łazienki jest zbyt skomplikowane dla Gundolfa i proponuje, żebym poszedł się umyć, a on w tym czasie popilnuje moich rzeczy. Potem zrobimy zamianę. Mam uczucie, że mogę mu zaufać. Mimo to dokumenty, karty kredytowe i pieniądze biorę ze sobą. Bardziej z przyzwyczajenia niż z obawy przed kradzieżą.

W czasie, kiedy Gundolf bierze kąpiel, opatruję moje dwa małe pęcherze. Mam nadzieję, że się nie powiększą. Gdy Gundolf wraca, opowiada, że właśnie widział Marię i Veronikę, jak wpisują się do księgi. Też nocują tu dzisiaj. Cieszy mnie to. Ale gdzie one były? Gdzie i kiedy je wyprzedziłem?

Po kąpeli piorę jeszcze koszulkę, skarpetki i majtki, no i wpisuję coś do dzienniczka. Potem idziemy z Gundolfem do miasta.

Puente la Reina zawdzięcza nazwę pięknemu mostowi, który królowa poleciła wybudować, aby średniowieczni pielgrzymi mogli się dostać na drugą stronę rzeki. *Puente* oznacza po hiszpańsku „most”, *reina* to „królowa”. Miasteczko nosi nazwę „Most królowej”.

W mieście spotykamy Austriaczki. Były właśnie obejrzeć ten słynny most. Ja nie planuję tam iść, ponieważ chciałbym zobaczyć go w świetle wschodzącego słońca. Droga św. Jakuba wiedzie przez ten most, więc jutro rano tak czy inaczej będę musiał przez niego przejść. Idziemy do centrum i szukamy knajpki, gdzie moglibyśmy się czegoś napić. Dzisiaj pozwolę sobie na piwko. Wynagrodzę sobie przebycie drogi w tym skwarze.

Siedzimy sobie, rozmawiamy, cieszymy się popołudniem. W rozmowie dowiaduję się, kiedy wyprzedziłem moje Austriaczki i tego nie zauważyłem. W Muruzábal, gdy przeszedłem obok kościoła, nie sprawdzając, czy jest otwarty, one były właśnie w środku. Kościół był nie tylko otwarty, ale na dodatek przepiękny. Przebywały tam dłuższą chwilę.

Przed ósmą idziemy do dużego kościoła w centrum miasteczka. O ósmej ma być odprowadzana msza, tak nas przynajmniej poinformował *hospitalero* w schronisku. Obchodzimy kościół wokół, ale wszystkie wejścia są pozamykane. Wtedy spotykamy naszego *hospitalero*. Dziwi się, że kościół jest zamknięty. Mówi, że może msza odbędzie się w drugiej świątyni, w pobliżu naszego *albergue*. Ruszamy. Po kilku krokach spotykamy siostrę zakonną. Ona powinna to wiedzieć. Okazuje się, że dzisiaj w Puente la Reina nie ma w żadnym kościele mszy świętej. Szkoda.

Cóż teraz? Na pójście do łóżka jest jeszcze za wcześnie. Nie chce nam się wracać z powrotem do knajpki, w której byliśmy. Idziemy w czwórkę wolnym krokiem przez miasto w kierunku

naszej kwatery. Po drodze przechodzimy obok niezle wyglądającego baru. Wchodzimy.

– Ależ tu dziwny zapach – mówi Maria.

Mnie zapach w barze nie wydaje się dziwny. Zamawiamy butelkę wina i w przyjemnej atmosferze kończymy dzień.

Po powrocie do schroniska zastajemy z Gundolfem w naszej sali niespodziankę. Pewien Włoch, zajmujący łóżko obok mnie, już śpi. Przy tym chrapie tak głośno, że nigdy bym nie podejrzewał, iż tak głośne chrapanie jest możliwe. Każdy jego oddech dudni tak, jakby w czasie burzy z grzmotami ktoś staczał drewniane beczki. Oprócz niego nikt jeszcze nie śpi. Nic dziwnego, przy takim chrapaniu nie można spać. Uznajemy tę sytuację za zabawną i zaczynamy się śmiać. Jeden po drugim wybuchają śmiechem też inni. Wkrótce śmieje się cała sala. Tej *Schnarchkanone*¹³ to nie przeszkadza. Dalej śpi błogo. Jego chrapanie jest tak wyjątkowe, że muszę je nagrać. Wyciągam aparat fotograficzny i nagrywam przez moment. Po chwili nasuwa mi się pewna myśl...

Dźwięki powstają, bo jakieś ciało wibruje. Wibracje te przenoszą się na inne ciała. My słyszymy dźwięki, ponieważ wibracje transportowane są przez powietrze do naszych uszu. Jeśli ten człowiek mieszka we Włoszech, to dziwne jest to, że Włochy jeszcze nie są wyspą. Wytwarza chrapaniem w czasie snu tyle wibracji, że Półwysep Apeniński już dawno powinien się oderwać od kontynentu europejskiego.

Szkoda, że Veronika i Maria śpią w innej sali i nie mogą go usłyszeć. A może go jednak słyszą? Przy tym natężeniu dźwięku wcale by mnie to nie zdziwiło.

Dzisiejszy dzień był normalnym dniem na pielgrzymce. Aczkolwiek z perspektywy kilku godzin muszę stwierdzić, że duchowo

13 Schnarchkanone (niem.) – chrapiąca armata.

tak naprawdę jeszcze na pielgrzymkę nie dotarłem. Pośpiech, który mną dzisiaj gnał, jest tego wyraźnym świadectwem. Powinienem mieć więcej zaufania i spokoju. Jeżeli Wszechmocny chce, abym jeszcze spotkał Marię i Veronikę, to je spotkam, jeżeli nie, to mój pośpiech też nic nie pomoże. Gdybym pozostał wierny mojemu postanowieniu, by odwiedzać każdy otwarty kościół, odnalazłbym Marię i Veronikę już w Muruzábal. Czy Bóg chciał, żebym je tam znalazł? Czy to znak dla mnie, abym naprawdę odwiedzał wszystkie otwarte kościoły? W każdym razie od teraz zawsze będę to czynił. Będę przy każdym kościele sprawdzał, czy drzwi są otwarte. Jeżeli tak, to będę wchodził i modlił się tam w ciszy. Teraz jestem tego pewien, Bóg tak chce.